

BYŁA NAJWIĘKSZĄ ZOŁZĄ, JAKĄ SPOTKAŁEM
A PRZEZ TO ZAPRAGNAŁEM JEJ JESZCZE BARDZIEJ.



*Kiedy zajdzie
słońce*

MAGDALENA SZPONAR



MAGDALENA SZPONAR

Kiedy zajdzie
słońce

Copyright © for the text by Magdalena Szponar
Copyright © for this edition by Wydawnictwo NieZwykłe, Oświęcim 2024
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Alicja Chybińska
Korekta: Katarzyna Chybińska, Natalia Szoppa, Wiktoria Garczewska
Skład i łamanie: Paulina Romanek
Oprawa graficzna książki: Paulina Klimek

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-8362-718-2 · Wydawnictwo NieZwykłe · Oświęcim 2024
Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwniezwykle.pl
✉ niezwykle@wydawnictwniezwykle.pl
📘 Wydawnictwo NieZwykłe
📷 [wydawnictwniezwykle](#)
✂ [Wyd_NieZwykłe](#)
🎵 [wydawnictwniezwykle](#)

*Wandzie,
gdyby nie Ty, nie powstałaby Willy,
a bez Willy nie byłoby tej książki*



PROLOG

Trzy tygodnie później

Nigdy nie sądziłem, że wybiorę się do podrzędnego baru w środku pieprzonego Teksasu (bar, swoją drogą, nosi właśnie taką, kreatywną w cholerę, nazwę) tylko po to, by się tam awanturować.

Awanturować.

Serio.

Ja, Ezra Hardy, a właściwie... Harris, bo tak przedstawiłem się River (i wcale nie denerwuje mnie fakt, że ona wciąż uparcie nazywa mnie Harrym). Poszedłem. Do baru. Awanturować się.

A dokładniej: poszedłem pobić się o kobietę.

Nic jednak nie poradzę na to, że ta jedna kobieta sprawia, że wariuję, łamię wszystkie swoje zasady i zaczynam się zachowywać jak jakiś przeklęty jaskiniowiec.

River Kay.

Chryste, to miało być proste.

Kiedy zobaczyłem jej błękitne oczy, zgłupiałem do reszty. W zasadzie nie słyszałem, co mówił tuż obok Caleb, nie słyszałem śmiechu tej dziewczyny stojącej przy River. Nie docierało do mnie nic. Tylko te cholerne niebieskie tęczęwki.

Serio.

Takie oczy wywołują wojny na świecie.

I pewnie wszystko potoczyłoby się zgodnie z planem, gdyby River Kay nie okazała się największą zołą, jaką kiedykolwiek poznałem.

A przez to... zapragnąłem jej jeszcze bardziej.

Kiedy Willy przyszła do mnie z miętową herbatką będącą jej popisowym numerem (naprawdę kochałem babcię Kay) i powiedziała mi, że River poszła do baru na randkę, dostałem... cóż, wścieklizny, jeśli mam być szczerzy. Kazała mi wywalić pierdolony gnój, w którym, swoją drogą, niezłe się utaplałem, a sama poszła sobie na randkę.

Na randkę. Kurwa mać.

Ta baba mnie wykończy.

Przysięgam, że nigdy w życiu nie machałem tak szybko wiadłami. Miałem pewność, że jeśli nie skończę pracy, Kay mnie udusi albo przynajmniej utopi w bajorku gnojówki. Wołałem nie ryzykować.

Dochodzę właśnie do drzwi Teksasu i staram się ignorować tych wszystkich podpitych małomiasteczkowych cwaniaczków. Nie jestem w nastroju na rozmowy i dobrze wiem, że żaden z nich nie zasługuje na moją Kay i żaden nie jest jej godzien.

Ja też nie, ale to już zupełnie inny temat.

Kiedy tylko przechodzę przez próg baru, uderza mnie głośna muzyka country, smród papierosów i ciężka, przesycona testosteronem atmosfera.

Nie wiem, jak to działa, ale lokalizuję River w ułamku sekundy. Zresztą, nie jest to trudne, bo chyba wszyscy tutaj skupiają się właśnie na niej.

– Kurwa – mamrocę pod nosem, widząc, jak moje największe utrapienie tańczy na środku parkietu jakiś dziwaczny układ do najnowszej piosenki Beyoncé.

A ci idioci w barze pokrzykują jak debile.

– Wooow!

– Hej!

Jebnę im zaraz, przysięgam.

Świat staje się czerwony. Zewsząd otaczają mnie moje przyszłe ofiary. A Kay ma na sobie krótkie spodenki.

Jezu.

– Dajesz, River!

– Przypierdolił ci kiedyś ktoś? – warczę odruchowo i zerkam na faceta stojącego obok.

Dziadek, na oko stułetni, patrzy na mnie jak na wariata.

Odwracam się z powrotem do mojej dziewczyny i wtedy widzę kolesia, który staje za nią i ośmiela się położyć łapy na jej biodrach.

– Randka, Kay? – mamrocę pod nosem, a dziadek obok mnie nadal się gapi. – Randka-srandka.

– Zazdrość nie jest dobrym fundamentem związku, chłopcze – informuje mnie uroczy jegomość, a jego pokryta zmarszczkami twarz wykrzywia się w uśmiešku.

Tylko tyle zauważam, nim ruszam przed siebie, by komuś zająbać. Tłum się rozstępuje, ale nawet tego nie dostrzegam, bo w zasadzie nie widzę niczego oprócz Kay. Oprócz jej łagodnie bujających się bioder, krótkiej bluzki odsłaniającej brzuch, jasnych włosów opadających falami na piersi i brązowego kapełusza zasłaniającego jej twarz. I tylko dlatego River nie widzi, że się zbliżam.

Pewnie gdyby widziała, już by na mnie bluzgała.

Taki jej urok.

– Spieprzaj – sapię do gościa, który dopiero po chwili przenosi na mnie wzrok.

– Jasne – prycha.

Wówczas River również unosi głowę.

– Co ty odwalasz, Harry? – pyta i unosi brew.

Mogła tego nie robić. Jestem pewny, że dobrze wie, jak mam na imię, w końcu pracuję u niej prawie od pieprzonego miesiąca.

Tylko że River woli być po prostu irytującą, złośliwą i potwornie seksowną małpą.

– Nie tak się na... – warczę, ale ta zołza mi przerywa.

– Jeremy – zwraca się do chłoptasia za sobą – może kolejny drink?

Wzdycham i unoszę oczy do nieba. Sama się o to prosiła.

Zanim dziewczyna zdąży zareagować, a ten chłystek ruszyć choćby palcem, pochylam się i przerzucam ją sobie przez ramię.

– Oszałałeś?! – piszczy, a kiedy się rozglądam (w sumie po raz pierwszy, odkąd tutaj wszedłem), dostrzegam, że wszyscy posyłają w naszą stronę cwane uśmieшки, i czuję, że River dodatkowo wbija mi łokieć pod żebra.

Sapię, ale jej nie puszczam.

– Willy kazała mi przyprowadzić cię do domu – mówię na tyle głośno, by usłyszało mnie choć parę osób, bo przecież nie przyznam się, że jestem zazdrosnym skurwysynem.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo, pieprzony dupku!

Chyba nie przemyślałem dokładnie tego, co właśnie robię, ale w reakcji na jej słowa... daję jej klapsa.

– Ezra! – wrzeszczy i nic nie mogę poradzić na uśmiech pojawiający się na mojej twarzy.

I wszyscy ją słyszeli. Już nikt nie uwierzy w te jej historyjki o parobku Harrym, który gnój wywalał łopata.

Kieruję się do wyjścia, a wtedy ta mała małpa, nadal drąc się wniebogłoso, zaczyna mnie okładać pięściami. Nie daję za wy-

graną. Nie przeszkadzają mi nawet nawoływania ludzi, a ci bawią się tym spektaklem odrobinę za dobrze.

Docieram do drzwi, a te... otwiera mi tamten staruszek.

– Dziękuję panu.

Przekraczam próg, docieram do schodów i w tej samej chwili River zaczyna wściekle wierzgać nogami, a czubek jej kowbojki trafia prosto w mojego kutasa.

– Kurwa, kobieto! – syczę, zginając się mimowolnie, przez co o mało nie tracę równowagi.

Nie jestem pewien, czy Kay w tych butach poczuła, że trafiła w coś twardego – bo przy tej lasce właśnie taki jestem permanentnie prawie od miesiąca – ale na szczęście ta mała złoźnica zastyga.

I dobrze. Prawie zwaliliśmy się przez nią ze schodów.

Schodzę po nich i stawiam ją tuż przy półciężarówce, którą ona nazywa zabytkiem, a ja rzęchem.

River odgarnia włosy z twarzy i dopiero teraz zauważam, że zgubiła gdzieś kapelusz. Patrzy na mnie wściekłym wzrokiem, jej policzki są czerwone, usta rozchylone i gotowe...

...by zrównać mnie z ziemią.

– Co to, do diabła, miało znaczyć?! – wydziera się, wbijając mi palec w tors.

Nawet nie drgnę.

– Może ty mi powiedz, co? – warczę.

– Chyba trochę ci się zakres obowiązków pomieszał, Ezra!

– Więc jednak pamiętasz, jak mam na imię? – syczę, przybliżając się do niej, aż Kay opiera się tyłkiem o karoserię, a ja zawisam nad nią i kładę dłonie na dachu wozu.

– Nie dopisuj sobie do tego historii – prycha.

Mrużę oczy i mielę w ustach przekleństwo. Ta kobieta się kiedyś doigra, a wtedy albo ją pocałuję, albo zabiję. Albo jedno i drugie.

– Jeśli chcę pójść na randkę, to pójdę na pieprzoną randkę, dupku – mówi nisko, chrapliwie, tak że jej głos trafia w sam środek mojej duszy.

Uwielbiam to, jak River brzmi, i chyba nigdy nie przyznam się, że chciałbym usłyszeć ją w łóżku, o poranku, po dobrym seksie, wzruszoną i zadowoloną. W każdej cholerniej wersji.

– Jestem kobietą, Ezra – sapie. – Mam swoje potrzeby!

– Nie będziesz ich zaspokajać w ramionach jakichś chłystków! – warczę, a oddech mi przyspiesza, bo połączenie wyrazów „River” i „zaspokajać” robi coś dziwnego z moim rozsądkiem.

– Niby. Dlaczego. Nie? – cedzi słowa, unosząc wyżej podbródek, przez co nasze usta dzielą dosłownie cale.

Słowa grzęzną mi w gardle. Co mam jej powiedzieć? Że to ja chcę ją mieć? Że chcę, by stała się moja? Żeby jej ciało wiło się pod moim? Żeby krzyczała moje pieprzone imię tym swoim zachrypniętym głosem?

Nie mogę tego zrobić.

Najpierw musiałbym wyjawić jej całą prawdę, a na to nie mam odwagi. Jestem skurczybykiem, ale nie aż takim, by zaciągnąć ją do łóżka w chwili, kiedy oszukuję ją w każdej cholerniej sekundzie.

– Wsiadaj do auta, River – rozkazuję twardo, na co ona nieznacznie drga, jakby spodziewała się czegoś zupełnie innego.

Mruga, a ja odbijam się od karoserii i prostuję.

– I nie każ mi się powtarzać, Colorado, bo przestanę być miły – rzucam jeszcze przez ramię i wracam do tego cholernego baru po pewien cholerny kapelus.

I cholernie nadużywam słowa „cholernie”.

Ignoruję też nerwowe prychnięcie za sobą, które pojawia się, ilekroć właśnie tak nazywam River.

Wchodzę do baru i zamykam za sobą drzwi. Wszyscy się na mnie gapią, ale mam to w dupie. Kapelus River – brązowy, z ciemnym paskiem wokół i złotą klamerką, wydaje się strasz-

nie stary, ale dzięki temu ma wyjątkowy styl – i tak, mam bzika na punkcie kapeluszy – leży na blacie.

A obok niego siedzi ten chłystek.

Ruszam do niego i bez słowa biorę stetson w rękę.

– Hola! – powstrzymuje mnie ten idiota, łapiąc go jednocześnie.

– Ty się człowieku prosisz o śmierć – syczę, a jego usta wykrzywają się w dziwnym uśmiechu.

Najpierw marszczę brwi, ale po chwili zaczynam rozumieć. A dokładniej wtedy, kiedy za mną pojawia się dwóch kolejnych facetów.

– Słuchaj, lalusiu – prycha ten pierwszy, skupiając na mnie uwagę.

Patrzę na niego z niedowierzaniem.

– River to nasza dziewczyna. Nasza.

Może jeszcze przeliterujesz?, myślę sobie.

– A ty pojawiłeś się nie wiadomo skąd, siejesz zamęt, wkurzasz ludzi... Wyjedź, dopóki nikt ci nie zrobił krzywdy, człowieku.

Prycham.

– Człowieku... – przedrzeźniam go. – Widzisz mnie? – Wskazuję na swoją sylwetkę zbudowaną z samych mięśni.

W tej samej chwili tuż obok pojawia się drugi z tych idiotów i staje tak, że widzę nóż w jego ręce.

– A widzisz to? – mówi, zerkając w dół.

Ach, tak chcą się bawić.

Już otwieram usta, żeby powiedzieć im, że tym nożykiem to mogą straszyć dzieci w Halloween, a nie mnie, gdy koło nas pojawia się szeryf Bryan.

– Jakiś problem, panowie?

– Nie, absolutnie – wtrącam, nie pozwalając im się odezwać. – A przynajmniej żaden, z którym bym sobie nie poradził. – Uważnie patrzę na każdego z nich, by dokładnie zrozumieli, co mam na myśli. – Poza tym już znikam, cofnąłem się tylko po kapelusz

mojej – podkreśliłam to słowo z dzikim uśmiechem na ustach – dziewczyny.

Koleś, który podrywał River, zaciska zęby i patrzy na mnie tak, że chyba powinienem się bać.

Nie działa.

– Dobrze, to zmykaj, chłopcze – odzywa się szeryf, a wtedy ci dwaj rozstępują się, by mnie przepuścić. – A wy zajmijcie się czymś pożytecznym, Southon – zwraca się do tamtych trzech.

Southon... coś mi mówi to nazwisko.

– Płot na waszym pastwisku jest bardziej dziurawy niż gacie starego Pete'a – dobiega mnie jeszcze, gdy odchodzę już na parę kroków.

Minutę później zbliżam się już do ciężarówki, w której posłusznie siedzi Riv.

I dobrze, naprawdę bym ją pocałował, gdyby mnie nie posłuchała.

– Co tak długo? – pyta mnie, wyraźnie obrażona, kiedy wsiadam na miejsce pasażera, bo oczywiście musiała usiąść za kółkiem.

Z utęsknieniem zerkam na swój motocykl stojący pod barem i modlę się w duchu, by do rana tam został. Nie zamierzam puścić River samej do domu, gdy jest taka wkurzona. Nawet moja ukochana maszyna nie jest ważniejsza od tej dziewczyny.

Zaraz... czy ja naprawdę to pomyślałem?

– Rozmawiałem – mruczę.

– Och, a z kim, jeśli można wiedzieć?

Zerkam na Kay. Wpatruje się w drogę przed nami, a odkąd ruszyliśmy, wydaje się jeszcze bardziej zła. Cóż, nic nie mogę poradzić, że od razu chcę wkurzyć ją jeszcze bardziej.

– Z jakąś blondyną. Nie pamiętam imienia, ale...

– Serio?! – Nie pozwala mi nawet dokończyć. – Poszedłeś tam po kapelusze i zdążyłeś poderwać jakąś bzdziągwę?

Bździągwę?, powtarzam w myślach, ledwie powstrzymując parsknięcie.

– Przyniosłem przecież ten kapelusz. – Na dowód pstrykam w niego na jej głowie, przez co Riv zmienia się w rozszalałą kotkę i trzepie mnie w dłoń. – A blondyna sama...

– Och, jeszcze mi powiedz, że to ona podrywała ciebie! – Znów mi przerywa.

Nic nie mogę poradzić na szeroki uśmiech pojawiający się na mojej twarzy.

– Jesteś zazdrosna, Colorado? – pytam wesoło, na co ona odwraca w moją stronę głowę i posyła mi oburzone spojrzenie.

– O zwykłego pastuszka, który nie odróżnia widel od łopaty? – prycha, a ja uśmiecham się jeszcze szerzej. – Zamknij się – warczy.

– Przecież nic nie mówię!

– Nie musisz, irytujesz mnie samą obecnością – mówi cicho, a ja śmieję się pod nosem.

I przysiągłbym, że kącki ust River również wykrzywają się delikatnie.

Nie odzywamy się do siebie aż do momentu, kiedy Kay parkuje tuż przed swoim domem. Wsiada pierwsza, a ja idę w jej ślady. Mimo późnej pory zauważam na werandzie babcię Wilnę, która siedzi w bujanym fotelu, przykryta kocem, i udaje, że wcale nas nie obserwuje.

– Riv... – zaczynam, ale ta złoźnica znów wchodzi mi w słowo.

– Zachowaj energię na poranek – uprzedza złowieszczo. – Trzeba wydoić kozy. I sprowadzić konie z pastwiska. Przydałoby się też przerzucić gnój.

– Przecież dzisiaj go przerzuciałem! – pry cham i unoszę ręce.

River wbiega po schodach i rzuca mi nonszalancko przez ramię:

– Tak, ale zrobiłeś to nie w tę stronę. Może powinieneś się na tym skupić, co? Tak jak na podrywaniu cholernych blondy-

nek! – A potem znika za drzwiami domu i trzaska nimi, aż podskakuję w miejscu.

Opuszczam ręce i kręcąc głową, podchodzę do werandy, by chwilę później usiąść ciężko na ławce obok Willy.

– Czyś kowbojem czy playboyem... – słyszę jej rozbawiony, lekko zachrypnięty głos i już wiem, że uraczy mnie kolejną ry-mowan-ką. – W lufie trzymaj swe naboje, bo jak strzelać będziesz z zazdrości, to ci nie...

– Och, zamilcz – śmieję się, na co ona zerka na mnie z rozba-wieniem i nic sobie nie robiąc z mojego protestu, kontynuuje:

– ...stanie na widok nagości.

Kręcę głową ze śmiechu.

– Skąd ty to bierzesz, Willy? – pytam.

– No cóż, kiedyś chciałam zostać poetką, chłopcze. – Klepie mnie po udzie, nachyliwszy się lekko.

Patrzę na jej pomarszczoną twarz i posyłam jej ciepły uśmiech.

– Zrobiłaś to specjalnie, prawda?

– Och, jak możesz wysuwać tak okropne przypuszczenia, synku?

Zwraca się do mnie tak, jak od dnia mojego przyjazdu, i to niezmiennie sprawia, że jakieś ciepło rozlewa się w moim sercu. Czuję się prawie jak... w domu.

Zerkam w stronę drzwi frontowych i wzdycham ciężko. W końcu wstaję i ruszam do schodków, by udać się do mojej przytulnej (wcale nie) miejscówki w stodole.

– A panna naga i niezaspokojona – woła za mną Willy – gorsza jest niż wściekła żona!

Odprowadza mnie śmiech Wilmy, więc sam również uśmiecham się pod nosem, bo dobrze wiem, że ta kochana wiedźma od początku robi wszystko, by zeswatać mnie z River.

I chyba nie mam nic przeciwko.